

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA

Artur Conan – Doyle

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PIES BASKERVILLE'ÓW

Rozdział I

Sherlock Holmes

Tego ranka mój przyjaciel siedział przy stole w jadalni. Ja oglądałem przy kominku laskę, zostawioną poprzedniego wieczora przez nieznanego nam gościa. Była to ładna, mocna laska z dużą gałką, okolona u dołu szeroką obrączką z napisem: „Jakubów Mortimerowi, MRCS, od przyjaciół z C.C.H” oraz datą: 1884. Laska pełna godności, poważna, przypominała te, jakie dawniej nosili lekarze domowi.

– I cóż, Watsonie – odezwał się do mnie Holmes – jakie wysnuwasz wnioski ze swoich oględzin?

Holmes siedział obrócony do mnie plecami, nie widział, czym byłem zajęty.

– Skąd wiesz, co robię? Gotów jestem uwierzyć, że masz oczy z tyłu głowy.

– Nie, ale mam przed sobą srebrny imbryk, wypolerowany jak zwierciadło – odparł.

– Powiedz mi więc, jakie refleksje budzi w tobie laska naszego gościa? Skoro nie zastał nas wczoraj i nie mamy pojęcia, jaki mógł być cel jego odwiedzin, ta przypadkowa pamiątka nabiera znaczenia. Niechże się dowiem, co wnosisz z tego kawałka drewna o jego właścicielu?

– Sądzę – odpowiedziałem, stosując w miarę możliwości metodę swego przyjaciela – że doktor Mortimer jest starszym, wziętym i bardzo poważanym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go takim dowodem uznania.

– Dobrze – rzekł Holmes. – Wyśmienicie.

– Sądzę także, iż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doktor Mortimer jest lekarzem wiejskim, odwiedzającym swoich chorych przeważnie pieszo.

– Dlaczego?

– Dlatego, że laska kiedyś była bardzo ładna, a teraz wydaje się zniszczona – nie wyobrażam jej sobie w rękach lekarza miejskiego. Żelazne okucie na końcu jest tak ścięte, że niewątpliwie kij służy doktorowi do częstych przechadzek.

– Doskonale, zupełnie słusznie! – przytakiwał Holmes.

– Poza tym są tu jeszcze wyrazy: „Od przyjaciół z C.C.H.” Ogaduję, że chodzi tu o jakieś miejscowe stowarzyszenie łowieckie... Doktor leczył pewnie członków tego stowarzyszenia, a oni, w dowód wdzięczności, ofiarowali mu ten drobny upominek.

– Watsonie, przechodzisz samego siebie – rzekł Holmes, odsuwając krzesło i zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że we wszystkich raportach, jakie przygotowałeś łaskawie z moich skromnych prac, nie doceniłeś własnych zdolności. Nie jesteś może sam przez się jaśniejącą pochodnią, ale doskonały z ciebie przewodnik w poszukiwaniu światła. Są ludzie, którzy, nie będąc obdarzeni geniuszem, posiadają jednak talent budzenia go u innych. Wyznaję, mój drogi, jestem twoim dłużnikiem.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób i muszę przyznać, że jego słowa sprawiły mi wielką przyjemność. Często bywałem dotknięty jego obojętnością zarówno dla mego podziwu, jak i dla moich usiłowań, zmierzających do rozpowszechnienia jego metody dedukcji. Teraz czułem dumę. Zdobyłem uznanie Holmesa.

Po chwili mój przyjaciel wziął mi z rąk laskę i zaczął ją pilnie oglądać. Nagle rzucił papierosa, podszedł do okna i zabrał się do badania laski przez lupę.

– Ciekawe, chociaż proste – rzekł, powracając na kanapę, gdzie usiadł w ulubionym zagłębieniu. – Dostrzegam na tej lasce parę wskazówek...

– Czyżby coś uszło mojej uwagi? – spytałem z pewnym niedowierzaniem. – Nie sądzę, żebym ominął jakiś ważny szczegół.

– Chyba większość twoich wniosków jest mylna. Gdy mówiłem, że stanowisz dla mnie podniecie, znaczyło to, iż stwierdzenie twoich pomyłek doprowadza mnie przypadkowo do odkrywania prawdy. Nie mylisz się co do istoty rzeczy. Właściciel laski jest niewątpliwie lekarzem wiejskim i dużo chodzi pieszo.

– Miałem zatem rację.

– Tak jest, pod tym względem.

– I to wszystko?

– Nie, nie mój drogi, nie wszystko... bynajmniej. Tylko, widzisz, mnie się na przykład zdaje, że prawdopodobnie ofiarowana doktorowi laska pochodzi raczej od zespołu szpitalnego niż od stowarzyszenia łowieckiego. Litery „C.C.” – to niewątpliwie „Charing Cross”.

– Może masz słuszość.

– Moje wyjaśnienie ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa i, jeśli przyjmiemy tę hipotezę, mamy nową przesłankę, która pozwoli nam odtworzyć osobowość naszego nieznanego gościa.

– Dobrze, przypuśćmy, że C.C.H. znaczy „Charing Cross Hospital”, jakie inne wnioski można z tego wysnuć?

– Czyż nie nasuwa ci się żaden? Znasz moją metodę. Zastosuj ją!

– Jedynym oczywistym wnioskiem jest fakt, że nasz nieznajomy praktykował w mieście, zanim przeniósł się na wieś.

– Posuńmy się dalej w naszych przypuszczeniach i idźmy ciągle tym śladem. Co najpraw-

dopodobniej dało sposobność do ofiarowania tego podarunku? Kiedy przyjaciele Mortimera zebrali składkę na upominek? Niewątpliwie miało to miejsce w chwili gdy doktor opuszczał szpital, żeby rozpocząć praktykę na własną rękę. Wiemy już, był to podarunek. Najpewniej doktor porzucił miejski szpital dla wiejskiej praktyki. Czy zatem zbyt śmiało byłoby nasze twierdzenie, że podarunek ofiarowano właśnie z powodu zmiany sposobu życia?

– Jest to bardzo prawdopodobne.

– A teraz, zechciej zauważyć, doktor Mortimer nie mógł należeć do zespołu stałych lekarzy szpitalnych. Na te posady powoływani są tylko pierwszorzędni lekarze londyńscy, a ci nie przenoszą się nigdy na wieś. Kimże był zatem? Lekarzem asystentem, czyli zajmował stanowisko niewiele wyższe niż starsi studenci. Opuścił zaś szpital przed pięciu laty, masz datę na lasce. Tak więc, twój poważny doktor w średnim wieku znika jak widmo, mój drogi, a na jego miejscu ukazuje nam się trzydziestolatek, miły, skromny, roztargniony i posiadający psa, którego określiłbym mniej więcej jako większego od jamnika a mniejszego od brytana.

Uśmiechałem się z niedowierzaniem, gdy Holmes przechylił się w tył, puszczając pod sufit kółka dymu.

– Nie mam sposobu zbicia tego ostatniego wywodu – rzekłem – ale nic łatwiejszego niż dowiedzieć się szczegółów, dotyczących wieku i kariery zawodowej doktora.

Zbliżyłem się do biblioteki, wziąłem z półki Przewodnik lekarski i odszukałem literę M. Znalazłem kilku Mortimerów, jeden z nich mógł być naszym gościem. Przeczytałem głośno:

„Motrimer Jakub, M. R. C. S. 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. Asystent–chirurg w szpitalu Charing Cross od 1882 do 1884. Laureat nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patologii porównawczej Czy dziedziczność jest chorobą?. Członek–korespondent szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor Kilku kaprysów atawizmu («The Lancet», 1882) Czy idziemy z postępem? («Journal of Psychology», marzec 1883). Lekarz rządowy gmin: Grimpen, Thornsley i High –Barrow”.

– A więc o stowarzyszeniu łowieckim ani wzmianki – rzekł Holmes z drwiącym uśmiechem – ale jest lekarz wiejski, jak sprytnie wnioskowałeś. Chyba moje wywody się potwierdzą. Co do przymiotników, powiedziałem, jeśli się nie mylę: miły, skromny, roztargniony. Otóż doświadczenie nauczyło mnie, że podarunki otrzymuje na tym świecie tylko człowiek miły, jedynie skromny opuszcza Londyn dla osiedlenia się na wsi, a tylko roztargniony zostawi ci laskę zamiast karty wizytowej po godzinnym czekaniu w twoim salonie.

– A pies?

– Pies nosi zazwyczaj laskę swego pana. Ponieważ jest ciężka, przeto pies trzymają mocno w środku, a ślady jego kłów są wyraźnie widoczne. Wskazują one, moim zdaniem, że szczeka jest za duża na jamnika, a za mała na brytana. To może... tak, do licha, to jest wyżeł!

Mówiąc to Holmes wstał i krążył po pokoju; naraz zatrzymał się przed oknem, a w głosie jego dźwięczała taka stanowczość, iż spojrzałem na niego zdumiony.

– Mój drogi, skąd ta pewność?

– Stąd po prostu, że widzę tego psa u naszych drzwi, a głos dzwonka oznajmia jego pana. Nie odchodź, proszę cię, Watsonie. To przecież twój kolega zawodowy, twoja obecność może być użyteczna. Oto dramatyczna chwila losu: słyszysz na schodach kroki człowieka, wchodzącego w twoje życie i nie wiesz, co ci przyniesie; złą czy dobrą dolę. Czego może, chciał doktor Jakub Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka Holmesa, specjalisty w kryminalistyce? Proszę!

Postać naszego gościa przejęła mnie zdumieniem, gdyż spodziewałem się ujrzeć typowego lekarza wiejskiego. Doktor Mortimer był zaś bardzo wysoki, szczupły, miał długi nos, zakrzywiony jak haczyk, wystający między parą oczu szarych, przenikliwych, bardzo blisko osadzonych i iskrzących się za okularami w złotej oprawie. Ubrany był w tradycyjny, choć nieco zaniedbany strój, przyjęty przez lekarzy; jego surdut był wytarty, spodnie w dole obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, głowę pochyloną naprzód; na jego twarzy malowała się wielka dobroduszość.

Wchodząc spostrzegł laskę w ręku Holmesa i rzucił się ku niemu z radosnym okrzykiem.

– Co za szczęście! – rzekł. – Nie byłem pewien, gdzie ją zostawiłem, tutaj czy w biurze żeglugi. Za nic w świecie nie chciałbym zgubić tej laski.

– Podarunek, prawda? – pytał Holmes.

– Tak jest.

– Od szpitala Charing Cross?

– Od kilku przyjaciół stamtąd... z okazji mego ślubu.

– Tam do licha! To niedobrze – odezwał się Holmes, potrząsając głową.

Doktor Mortimer zmrużył oczy i spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

– Niedobrze? Co? Dlaczego?

– Pokrzyżował pan nasze wnioski. Mówi pan zatem, że to podarunek z okazji ślubu?

– Tak jest. Ożeniłem się i porzuciłem szpital, a wraz z nim wszelką nadzieję praktyki konsultacyjnej. Trzeba było stworzyć ognisko domowe.

– Co prawda – rzekł Holmes – nie pomyliliśmy się znów tak bardzo. A teraz, doktorze Jakubie Mortimerze...

– Przepraszam, po prostu... jestem skromnym lekarzem.

– I widocznie człowiekiem o zacięciu naukowym.

– Dyletantem najwyżej; zbieraczem muszelek na wybrzeżach wielkiego nieznanego oceanu. Przypuszczam, że mówię do pana Sherlocka Holmesa, nie zaś...

– Nie, oto mój przyjaciel, doktor Watson.

– Bardzo mi przyjemnie. Słyszałem często nazwisko pana wymieniane wspólnie z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Panie Holmes, interesuje mnie pan niesłychanie. Rzadko zdarzało mi się widzieć czaszkę tak szeroką jak pańska i do tego stopnia rozwinięte guzy nadczodołowe.

Czy pozwoli mi pan przesunąć palec po szwie ciemieniowym? Odlew pańskiej czaszki, w zastępstwie oryginału, byłby ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie pragnę bynajmniej pańskiej śmierci, ale przyznaję, że na tę czaszkę mam wielką ochotę.

Holmes wskazał krzesło osobliwemu gościowi.

– Jesteś pan entuzjastą swojego zawodu, podobnie jak ja mojego – rzekł. Odgaduję z pańskiego wskazującego palca, że sam pan zwija swoje papierosy. Proszę, niech się pan nie krępuje. Nasz gość wyjął z kieszeni bibułkę oraz tytoń i ze zdumiewającą sprawnością zwinął papierosa. Palce miał długie, zwinne i ruchliwe, jak macki owada.

Holmes milczał, ale jego wzrok, utkwiony uporczywie w naszym gościu, mówił mi, do jakiego stopnia przybysz ten budzi jego zainteresowanie.

– Przypuszczam – odezwał się wreszcie – że nie tylko dla zbadania mojej czaszki zaszczycił mnie pan swoimi odwiedzinami wczoraj i powrócił pan dzisiaj.

– Nie, nie, jakkolwiek rad jestem niezmiernie, że nastroczyła mi się taka sposobność. Przyszedłem do pana, panie Holmes, bo wyznaję, iż nie jestem człowiekiem praktycznym, a nadto dlatego, że stanąłem wobec zagadki zarówno poważnej, jak i tajemniczej. Ponieważ uważam pana za drugiego wśród najwytrawniejszych biegłych w Europie...

– Doprawdy! A czy wolno wiedzieć, kto ma zaszczyt być pierwszy? – przerwał Holmes z lekkim odcieniem goryczy.

– Prace pana Bertillona zawsze muszą oddziaływać na umysł człowieka ceniącego ścisłość naukową.

– A więc dlaczego nie udaje się pan do niego po radę?

– Mówiłem o ścisłości naukowej, co zaś do praktycznej strony sprawy pan jesteś jedyny. Spodziewam się, że mimo woli nie...

– Cokolwiek sędzę – przerwał Holmes – będzie lepiej, gdy damy temu wszystkiemu spokój i wyjaśni mi pan, doktorze, naturę zagadki, której bez mojej pomocy nie możesz rozwiązać.

Rozdział 2

Przeklęty ród

- Mam w kieszeni rękopis – zaczął doktor.
- Spostrzegłem to, gdy pan tylko wszedł – odparł Holmes.
- Rękopis ten jest bardzo stary.
- Sądzę, że pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku, jeśli nie jest podrobiony.
- Skąd pan wie?
- Z pańskiej kieszeni wystają papiery, a przez ten czas, gdy pan mówił, widziałem fragment rękopisu. Nieświeży byłby to bieżący, który by, widząc to, nie mógł określić daty dokumentu – z dokładnością około dziesięciu lat. Może pan czytał moją monografię na ten temat? Pański rękopis jest mniej więcej z roku 1730.
- Z 1742, według ścisłej daty – odparł Mortimer, wydobywając go z kieszeni. – Papiery te powierzył mi sir Karol Baskerville, którego tragiczna śmierć wywołała trzy miesiące temu duże wzburzenie w Devonshire. Byłem jednocześnie jego lekarzem i przyjacielem. Człowiek wyjątkowego umysłu, przenikliwy, praktyczny, miał równie trzeźwą wyobraźnię jak ja. Jednak wierzył w ten dokument, a wiara ta przyczyniła się do strasznej śmierci, jaką zginął.
- Holmes wyciągnął rękę po rękopis i rozłożył go na kolanach.
- Spójrz, Watsonie – rzekł, zwracając się do mnie – na te s, raz długie, to znów krótkie. Jest to jedna ze wskazówek, które pozwoliły mi określić datę.
- Spojrzałem przez jego ramię na poślisk papier i prawie zamazane pismo. Jako nagłówek widniał napis: Baskerville Hall, a poniżej wielkimi niekształtnymi cyframi: 1742.
- Widzę, że jest to jakby jakieś sprawozdanie.
- Tak, to opis pewnej legendy, dotyczącej rodziny Baskerville'ów.
- Sądziłem, że chce pan zasięgnąć mojej rady w sprawie nowszej i mającej znaczenie praktyczne.
- Wierzę mi pan, że to sprawa nowa i niezwykle nagła, którą trzeba koniecznie wyjaśnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rękopis, który przyniosłem ze sobą, jest krótki i ściśle ze sprawą związany. Pan pozwoli zatem, że go przeczytam.
- Holmes wsunął się w głębi fotela, splótł dłonie i zamknął oczy, przybrawszy postawę pełną

rezygnacji. Doktor Mortimer rozłożył rękopis i głosem donośnym, suchym, czytał następującą starodawną opowieść:

„O pochodzeniu psa Baskerville'ów krążyły różne pogłoski. Ponieważ jednak jestem potomkiem Hugona Baskerville'a w prostej linii, a historię niniejszą słyszałem z ust swego ojca, któremu znów przekazał ją jego ojciec, przeto spisałem ją, przekonany szczerze o jej prawdziwości. Chciałbym, potomkowie moi, abyście wierzyli, że ta sama sprawiedliwość, która karze za grzechy, umie również przebaczać miłosiernie i że nie ma tak strasznego przekleństwa na świecie, którego nie można by okupić skruchą i modlitwą. Z opowieści niniejszej zatem wyciągnijcie tę naukę, iż nie należy obawiać się skutków przeszłości, lecz trzeba stać się baczniejszym w przyszłości i unikać tych okropnych grzechów, które ściągnęły na naszą rodzinę wielkie nieszczęścia.

Wiedźcie tedy, że w czasach wojny domowej (której historię, napisaną przez wielce uczynego lorda Clarendona, polecam gorąco waszej uwadze) zamek Baskerville był własnością Hugona tegoż nazwiska, człowieka ulegającego dzikim namiętnościom, bezbożnego i rozpustnika. Sąsiedzi byliby mu wybaczyli te błędy, wiedząc, iż zamek nigdy nie był siedzibą świętych; jednak okrucieństwa, jakie popełnił podczas hulaszczyczych zabaw, stały się przysłowiowe w całej okolicy. Zdarzyło się, że ów Hugon zapalał miłością (jeżeli określenie to, użyte w danym wypadku, nie będzie profanacją) do córki ziemianina, którego grunta sąsiadowały z posiadłością Baskerville'ów. Ale panna, skromnie i pobożnie wychowana, unikała wielbiciela, znając jego złą sławę.

Pewnego dnia, w wigilię świętego Michała, ów Hugon z pięciu czy sześciu towarzyszami pohulanek podczas nieobecności ojca i braci wtargnął do majątku i porwał pannę. Przyniósłszy brankę do zamku, osadził ją w wieży, a sam udał się z kompanami do jadalni, by, jak zwykle, spędzić noc na pijatyce. Nieszczęśliwa dziewczyna była bliska obłądu, słysząc w swym więzieniu śpiewy, wrzaski i bluźnierstwa uczujących, które do niej dobiegały. Wreszcie, zdjęta śmiertelną trwogą, zdobyła się na czyn, przed którym zawahałby się najodważniejszy mężczyzna. Wyszła przez okno i, przy pomocy gałęzi bluszczu, który okrywał i okrywa jeszcze mur, zsunęła się po rynnie, po czym uciekła przez łąki do rodzicielskiego majątku, oddalonego o trzy mile.

Wkrótce potem Hugon opuścił gości, aby zanieść trochę jadła i picia swej brance – a może żywił i gorsze zamiary – lecz zastał klatkę pustą. Na ten widok, jak opętany przez szatana, zbiegł w szalonym pędzie ze schodów, wpadł do jadalni, wskoczył na stół, tłukąc talerze i kryształ, i wobec przerażonych, na wpół pijanych biesiadników przysiągł, że jeśli jeszcze tej nocy zdoła schwytać zbiegłą dziewczynę, zaprzeda czartu ciało i duszę. Przez chwilę obecni patrzyli na niego w osłupieniu, aż naraz jeden, podlejszy, a może bardziej pijany od innych krzyknął, żeby puścić psy gończe śladem panny. Propozycja przypadła do gustu Hugonowi,

wyleciał z zamku, wrzeszcząc na stajennych, by mu osiodłali klacz, a na dojeżdżaczy, by wypuścili psy z psiarni, po czym cisnął psom chustkę dziewczęcia i uszykował je do biegu. Człowiek kląć a zwierzęta wyjąc popędzili wśród bladego światła księżyca ku łąkom.

Wszystko to dokonało się z tak błyskawiczną szybkością, że biesiadnicy zrazu nie zrozumieli, co zaszło. Niebawem jednak coś zaświtało w ich zamroczonych umysłach, uprzytomnili sobie, o co chodzi i powstał piekielny hałas. Jedni wołali o pistolety, inni o konie, drudzy znów o nowe butelki wina. W końcu oprzytomniali do reszty i wszyscy, w liczbie trzynastu, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Księżyc rzucał na ziemię srebrzyste blaski, a konie pędziły galopem drogą, którą musiała podążać nieszczęśliwa dziewczyna, chcąc się dostać do domu.

Ujechali tak ze dwie mile, gdy spotkali nocnego pastucha, pilnującego trzody na łące, a mijając go krzyknęli, czy nie widział ściganej dziewczyny. Opowieść niesie, że nieborak był tak wystraszony, iż nie mógł na razie odpowiedzieć; w końcu objaśnił: widział młodą dziewczynę i pędzące za nią psy.

– Widziałem jeszcze więcej – dodał – widziałem dziedzica z Baskerville'u na czarnej klaczy, za nim leciał milczkiem pies tak ogromny, że niechaj mnie Bóg uchowa, abym go spotkał na swej drodze.

Opoje posłali pastucha do wszystkich diabłów i popędzili dalej.

Lecz niebawem krew ścięła się w ich żyłach. Na równinie rozległ się tętent kopyt końskich i czarna klacz bez jeźdźcy, okryta pianą, minęła ich w piekielnym galopie, wlokąc cugle za sobą.

Zdjęci trwogą, jeźdźcy skupili się, lecz pogoni nie zaniechali, jakkolwiek każdy z nich od dzielnie chętnie zawróciłby konia.

Jadąc już wolniej, spotkali nareszcie sforę psów, które, znane z odwagi i wszelkich przymiotów dobrej rasy, stały wokół krzaka i przeraźliwie wyły nad krawędzią głębokiego wąwozu. Niektóre zaczynały się cofać, inne, z najeżoną sierścią, ze ślepiami nabiegłymi krwią, okrążały wąwóz.

Grono mężczyzn, już zupełnie otrzeźwionych, zatrzymało się. Większość nie miała odwagi zapuszczać się dalej, lecz trzech najśmielsi zjechali w dół wąwozu. Rozszerzał się w tym miejscu znacznie: tu, na dość obszernej polance, wznosiły się dwa z owych wielkich kamieni, jakimi niektóre zapomniane ludy znaczyły w dawnych czasach miejsca swego pobytu. Na ziemi leżała bez życia dziewczyna. Widocznie tutaj upadła i skończyła ze znużenia i trwogi. Na jej widok oraz na widok wyciągniętych o parę kroków dalej zwłok Hugona Baskerville'a trzech śmiałkowie skamienieli. Nad trupem Hugona stał potwór – czarne wielkie zwierzę; przypominał psa, ale o rozmiarach, jakich nikt jeszcze nie widział.

Potwór miał kły zapuszczone w gardło Hugona; w chwili gdy trzech mężczyzn się zbliżali,

wyrwał szmat ciała z szyi trupa i zwrócił ku przybyłym swe ogniste ślepie i paszczę broczącą krwią... Trójka jeźdźców, przeraźliwie krzycząc, popędziła cwałem z powrotem przez równinę.

Utrzymują, że jeden z nich. umarł jeszcze tej samej nocy, a dwaj pozostali popadli w obłąd.

Tak brzmi, synowie moi, opowieść o pierwszym ukazaniu się psa, który od owego czasu stał się przekleństwem i plagą naszego rodu. Spisałem tę opowieść, bo wzmianki i domysły wzbudzają zawsze więcej trwogi niż rzeczy dokładnie znane.

Nie można zaprzeczyć, że kilku członków naszej rodziny zginęło śmiercią gwałtowną, nagłą i tajemniczą. Powinniśmy jednak ufać w nieskończoną dobroć opatrności, która rzadko kiedy karze niewinnych w trzecim lub czwartym pokoleniu – tak mówi Pismo Święte.

Polecam was, synowie moi, opiece tej opatrności i radzę unikać, przez ostrożność, chodzenia w pobliżu owego wąwozu, zwłaszcza w godzinach nocnych, kiedy panuje moc złego ducha.

Historię tę spisał Hugon Baskerville dla swoich synów Rogera i Jana, zalecając wszakże, aby pod żadnym pozorem nie powtarzali opowieści powyższej siostrze swojej, Elżbiecie”.

Doktor Mortimer, ukończywszy czytanie, podniósł okulary na czoło i zwrócił spojrzenie na Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął, cisnął resztkę papierosa w ogień i spytał lakonicznie:

– I cóż?

– Czy ta historia nie wydaje się panu zajmująca?

– Owszem; dla amatora bajek o żelaznym wilku.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni starannie złożony dziennik.

– Teraz, panie Holmes, poczęstujemy pana czymś świeższym. Oto numer pisma „Devon County Chronicle”, z dnia 15 maja br., zawierający szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a, który zmarł kilka dni przed tym.

Mój przyjaciel pochylił się nieco naprzód, a wyraz jego twarzy wykazał pewne zajęcie. Nasz gość poprawił okulary i zaczął:

„Nagła śmierć sir Karola Baskerville'a, którego wymieniano jako kandydata stronnictwa liberalnego z Mid-Devon w zbliżających się wyborach, pogłężyła w smutku całe hrabstwo. Jakkolwiek sir Karol krótki czas mieszkał w Baskerville Hall, to przecież ujmującym obejściem i wielką szczodrobiwością zdobył przywiązanie oraz szacunek wszystkich, którzy go znali.

W tych czasach nowobogackich pocieszający jest widok potomka starego rodu, który, mimo ciężkich przejść, zdołał dorobić się majątku i przywrócić dawną świetność rodzinnego gniazda.

Sir Karol, jak wiadomo, zarobił znaczne sumy w południowej Afryce. Roztropniejszy od

tych, którzy spekulują dopóty, dopóki koło fortuny nie odwróci się, zrealizował wszystkie swoje plany i powrócił do Anglii. Zaledwie dwa lata minęły od chwili, kiedy zamieszkał w Baskerville Hall, a wiadomo jest wszystkim, że nosił się z zamiarem odbudowy zamku i zaprowadzenia dalszych ulepszeń w gospodarstwie rolnym. Śmierć nie pozwoliła urzeczywistnić tych planów, powziętych na wielką skalę. Będąc bezdziejny pragnął, żeby cała okolica korzystała z jego majątku; wielu opłakuje jego przedwczesny zgon.

Niejednokrotnie na szpaltach naszej gazety zdawaliśmy sprawę z jego szczodrych darów na różne cele dobroczynne w hrabstwie.

Śledztwo nie mogło wyjaśnić dokładnie okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Karola Baskerville'a, ale rozproszyło przynajmniej pewne pogłoski zrodzone z zabobonu.

Sir Karol był wdowcem i uchodził pod pewnymi względami za dziwaka. Pomimo znacznej fortuny, żył bardzo skromnie, a jego służba składała się z małżeństwa nazwiskiem Barrymore; mąż był lokajem, żona gospodynią.

Zeznania ich, potwierdzone przez kilku przyjaciół, wskazują, że od pewnego czasu sir Karol silniej nieomagał. Trafiły go sensacje sercowe, objawiające się nagłym blednięciem, napadami duszności i rozstroju nerwowego. Doktor Mortimer, przyjaciel i lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Fakty w tym wypadku są bardzo proste. Co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, sir Karol przechadzał się po słynnej alei cisowej w Baskerville Hall. Małżonkowie Barrymore stwierdzili zgodnie w zeznaniach, że taki był zwyczaj ich pana.

Czwartego maja sir Karol oznajmił, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i polecił Barrymore'owi, aby zapakował jego rzeczy. Wieczorem wyszedł na zwykłą przechadzkę, podczas której zawsze palił cygaro.

Z przechadzki tej już nie powrócił.

O północy Barrymore, widząc, że drzwi przedsionka zamku są jeszcze otwarte, zaniepokoił się i, zapaliwszy latarkę, poszedł szukać pana. Dzień był dżdżysty, więc z łatwością odnalazł ślady nóg sir Karola na rozmięklej ziemi w alei. W połowie tej alei znajduje się furtka, która wychodzi na moczary. Głębsze w tym miejscu ślady wskazywały, że sir Karol zatrzymał się tutaj. Następnie podjął widocznie znów przechadzkę, bo jego zwłoki znaleziono znacznie dalej.

Pewien szczegół zeznania Barrymore'a pozostaje jeszcze niewyjaśniony: kształt śladów zmienił się z chwilą, kiedy sir Karol Baskerville minął furtkę: zdawało się, że dalej szedł na palcach.

Niedaleko, na moczarach znajdował się wówczas niejaki Murphy, Cygan, handlarz koni, lecz, jak sam zeznał, był zupełnie pijany. Słyszał krzyki, nie mógł jednak wskazać, skąd pochodziły. Na zwłokach sir Karola nie stwierdzono żadnych śladów gwałtu, jakkolwiek raport

lekarza wspomina o niezwyklej konwulsyjnym wykrzywieniu twarzy – wykrzywieniu tak strasznym, że zrazu doktor Mortimer nie chciał wierzyć, iż istotnie to jego przyjaciel i pacjent leży przed nim. Wyjaśniono jednak, że jest to objaw zdarzający się często w wypadkach dusznicy i śmierci spowodowanej atakiem serca. Oględziny zwłok taką właśnie przyniosły diagnozę, a sędzia śledczy potwierdził wyjaśnienie lekarskie.

Radzi jesteśmy z takiego wyniku śledztwa. Spadkobierca sir Karola powinien jak najrychlej osiąść na zamku i prowadzić dalej, przerwane w taki tragiczny sposób, dzieło swego poprzednika. Gdyby prozaiczny raport sędziego nie zniweczył ostatecznie romantycznych opowieści, krążących po okolicy, nie można by wcale wydzierżawić Baskerville Hall.

Spadkobiercą nieboszczyka jest – jeżeli żyje jeszcze – Henryk Baskerville, syn najmłodszego brata sir Karola. Ostatnie listy młodzieńca były wysyłane z Ameryki. Zarządzono odpowiednie środki celem odnalezienia go i zawiadomienia o dziedzictwie, jakie nań spadło”.

Doktor Mortimer złożył dziennik i wsunął go do kieszeni.

– Takie są, panie Holmes, publicznie wiadome szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a – rzekł.

– Dziękuję panu – odparł Holmes – za zwrócenie mojej uwagi na ten wypadek, zajmujący pod niejednym względem. Zauważyłem wówczas niektóre wzmianki w dziennikach, ale byłem niesłychanie zajęty sprawą drogich kamieni, które zginęły w Watykanie, tak że zubożniałem na razie na wszystko, co się działo w Anglii. Powiada pan więc, że ten artykuł zawiera wszystko, o czym wie publiczność?

– Tak jest.

– Proszę, niech pan mi teraz powie to, czego publiczność nie wie. – Holmes wsunął się znów w fotel, splótł dłonie, a jego twarz przybrała wyraz powagi i obojętności.

– Czyniąc zadość pańskiemu żądaniu – mówił doktor Mortimer, który zaczął już okazywać zdenerwowanie – opowiem to, czego nie mówiłem nikomu. Milczałem wobec sędziego, bo człowiek nauki zawaha się nieraz, zanim przyzna się publicznie, że podziela powszechny zabobon. Kierował mną też i ten wzgląd, że, jak słusznie pisze dziennik, niepodobna byłoby wydzierżawić posiadłości, gdyby jeszcze cokolwiek wzmogło straszną sławę tej siedziby. Z tych dwóch powodów uważałem za stosowne powiedzieć mniej, niż wiedziałem; ale z panem mogę być szczery.

Równina jest prawie niezamieszкана, a tych, którzy sąsiadują ze sobą, łączą bliskie stosunki. Oto przyczyna mojej zażyłości z sir Karolem Baskerville'm. Z wyjątkiem pana Franklanda w Lafter Hall i pana Stapletona, przyrodnika, nie ma w promieniu kilku mil ludzi wykształconych.

Sir Karol lubił samotność, ale jego choroba zbliżyła nas wzajemnie, a wspólne zamiłowanie do nauki utrwaliło to zbliżenie. Sir Karol poczynił w Afryce dużo obserwacji naukowych i

spędziliśmy razem niejedną miłą wieczór, rozprawiając o anatomii Buszmenów czy Hotentotów.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dostrzegłem u sir Karola wzmagające się coraz bardziej nerwowe rozdrażnienie. Legenda, którą przeczytałem przed chwilą, prześladowała go do tego stopnia, że nic na świecie nie zmusiłoby go do wyjścia w nocy poza kratę parku. Jakkolwiek wyda się to panu nieprawdopodobne, sir Karol był szczerze przeświadczony, iż okrutne fatum ciąży nad jego rodem.

Myśl o ciągłej obecności złego ducha ściagała go nieustannie. Często zapytywał mnie, czy podczas nocnych wycieczek nie dostrzegłem jakiejś fantastycznej postaci, nie słyszałem szczekania psa. Ostatnie pytanie zadawał mi niejednokrotnie, zawsze drżącym z emocji głosem.

Przypominam sobie doskonale drobne zajście, które się zdarzyło na kilka tygodni przed jego śmiercią. Zajechałem pewnego wieczora przed zamek i zastałem sir Karola w drzwiach przedsionka. Zeskoczyłem z powozu i stanąłem na wprost przyjaciela, gdy naraz zauważyłem, że jego oczy z wyrazem najokropniejszej trwogi patrzyły gdzieś poza moje ramię. Odwróciłem się i zdołałem dostrzec na zakręcie drogi coś trudnego do określenia, przypominającego wielkie czarne ciele.

Sir Karol był tym zjawiskiem tak wzburzony i zaniepokojony, że musiałem pójść na miejsce, gdzie zwierzę się ukazało i przeszukać zarośla. Zwierzę zniknęło bez śladu. Zdarzenie to wywarło na nim straszne wrażenie. Spędziłem z nim cały wieczór i wówczas dla wytłumaczenia swych emocji powierzył mojej pieczy rękopis, który panu przeczytałem. Wspominam o tym zajściu dlatego tylko, że nabiera pewnego znaczenia ze względu na późniejszą tragedię; na razie nie przywiązywałem do niego większej wagi i uważałem strach mojego przyjaciela za nie usprawiedliwiony.

Na skutek moich nalegań sir Karol postanowił jechać do Londynu. Wiedziałem, że choruje na serce, a nieustająca trwoga, w jakiej żył – choćby jej powód był urojony – źle wpływała na jego zdrowie. Miejskie rozrywki mogły podziałać dobroczynnie. Tego samego zdania był pan Stapleton, nasz wspólny przyjaciel. W ostatniej chwili nastąpiła straszna katastrofa.

W noc zgonu sir Karola lokaj przysłał po mnie chłopca stajennego – Perkinsa, a ponieważ nie spałem jeszcze, w godzinę po wypadku byłem w Baskerville Halle.

Potwierdziłem osobiście wszystkie fakty opisane w śledztwie; śledziłem ślady kroków w alei cisowej, widziałem przy furtce miejsce, gdzie nieboszczyk się zatrzymał; zauważyłem zmianę kształtu śladów, widziałem że na piasku nie ma innych śladów prócz śladów butów Barrymore'a, po czym zbadałem trupa, którego jeszcze nikt nie dotknął.

Sir Karol leżał wyciągnięty, twarzą do ziemi, ręce miał rozkrzyżowane, palce zaciśnięte kurczowo i zagłębione w ziemi, a rysy tak wykrzywione i zmienione, pod wpływem gwał-

townego przeżycia, że nie odważyłbym się potwierdzić pod przysięgą jego tożsamości, gdyby nie lata znajomości.

Na ciele nie znalazłem żadnego obrażenia fizycznego. Wszelako zeznania Barrymore'a nie były dokładne. Powiedział, że przy trupie nie było żadnego śladu stóp. Nie widział ich. Ja jednak dostrzegłem... Świeże, wyraźne, niedaleko od miejsca wypadku...

– Ślady stóp?

– Tak jest.

– Mężczyzny czy kobiety?

Doktor Mortimer spoglądał na nas przez chwilę szczególnym wzrokiem, po czym, szeptem niemal, odpowiedział:

– Panie Holmes, to były ślady łap olbrzymiego psa!

Rozdział 3

Zagadka

Wyznaję, że słowa te przejęły mnie dreszczem. Głos doktora Mortimera drżał, wskazując, że poruszyło go jego własne opowiadanie.

Nieco pochylony naprzód, Holmes słuchał go z błyskiem w oczach, który był dowodem żywego zainteresowania.

– Pan te ślady widział? – zapytał.

– Tak dokładnie, jak widzę pana w tej chwili.

– I nic pan o tym nie mówił?

– Dlaczegoż miałbym o tym mówić?

– W jaki sposób wytłumaczy nam pan fakt, że tylko pan je dostrzegł?

– Były one widoczne dopiero w odległości dwudziestu metrów od trupa... nikt na to nie zwrócił uwagi. Gdybym nie znał tej legendy, tego dziwnego podania, pewno bym ich nie dostrzegł, jak wszyscy.

– Czy na moczarach znajduje się dużo psów pasterskich?

– O, bardzo dużo!... Ale to nie był pies pasterski.

– Mówi pan, że pies był wielkiego wzrostu?

– Olbrzymiego!

– I że nie zbliżył się do trupa?

– Nie.

– A jaka noc była wtedy?

– Wilgotna i zimna.

– Czy padał deszcz?

– Nie.

– Niech pan opisz tę aleję cisową?

– Tworzą ją dwa rzędy starych cisów wysokich na dwanaście stóp, ich wierzchołki stanowią nieprzejrzaną kopułę zieleni. Wolna przestrzeń pomiędzy drzewami ma szerokość ośmiu stóp.

- A pomiędzy drzewami i aleją nie ma nic?
- Owszem, po obu stronach dróżki rozciąga się trawnik, mający szerokość sześciu stóp.
- Mówił pan, że na końcu alei cisowej znajduje się furtka?
- Tak, prowadzi na moczary.
- Nie ma innego wyjścia?
- Żadnego.
- Tym sposobem do szpaleru cisowego można dojść tylko z domu lub przez tę furtkę.
- Można jeszcze przez cieplarnię, stojącą na końcu szpaleru.
- Czy sir Karol doszedł aż do tego miejsca?
- Nie, był jeszcze z pięćdziesiąt metrów oddalony od cieplarni.
- Czy zechce mi pan powiedzieć, doktorze, a jest to szczegół wielkiej wagi, czy ślady, jakie pan dostrzegł, znajdowały się na piasku czy na trawie?
- Na trawie nie dostrzegłem żadnych śladów.
- A zatem były one tylko od strony furtki... zaciekawiasz mnie niezmiernie. Czy furtka była zamknięta?
- Zamknięta na klucz i na kłódkę.
- Jak wysoka jest ta furtka?
- Ma cztery stopy wysokości.
- Mógłby więc ktoś przez nią się przedostać?
- Z łatwością.
- Czy były tam jakieś ślady szczególne?
- Nie.
- Czy prowadzono tam jakieś poszukiwania?
- Tylko ja szukałem.
- I nic pan nie odkrył?
- Sir Karol stał w jednym i tym samym miejscu pięć albo dziesięć minut.
- Dlaczego pan tak sądzi?
- Bo na ziemi w dwóch miejscach zobaczyłem popiół strząśnięty z cygara.
- Ma pan słuszość – potwierdził Holmes. – Watsonie – dodał – znaleźliśmy sympatycznego kolegę... Jakże to były ślady?
- Poruszanie się w miejscu uczyniło je niewyraźnymi. Jedynie wyraźny był ślad stóp sir Karola. Sherlock Holmes uderzył się niecierpliwie ręką w kolano.
- Ach! gdybym ja tam był! – zawołał. – Wypadek przedstawia się niezmiernie zajmująco! Te ślady na piasku, na którym mógłbym tyle rzeczy wyczytać, zatarł deszcz i sandały ciekawych wieśniaków! Ach! doktorze, dlaczego mnie nie wezwałeś? Zawiniłeś bardzo!

– Nie mogłem wezwać pana, nie wyjawiając wszystkich faktów, a przedstawiłem już wody, dla których chciałem milczeć. Zresztą... zresztą...

– Dlaczego się pan wahasz?

– Są okoliczności, w których, nawet najbieglejszy i najbardziej doświadczony angielski policjant nic poradzić nie może.

– Czy pan przypuszcza, że te wypadki mają styczność ze światem nadprzyrodzonym?

– Nie twierdzę tego stanowczo.

– Ale takie jest pańskie przekonanie?

– Po tej tragedii opowiadano mi o rozmaitych wypadkach, których niepodobna podciągnąć pod zdarzenia zwykłe, pospolite i naturalne.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, że przed tą straszną nocą wiele osób widziało zwierzę, którego opis zgadzał się zupełnie z powierzchownością „złego ducha” z Baskerville’u. Zwierzę to nie da się zaliczyć do żadnego znanego gatunku. Wszyscy przyznają, że miało pozór straszny, fantastyczny, nieziemski. Wypytywałem się ludzi: wieśniaka, kowala i dzierżawcy; wszyscy jednakowo odmalowali złowrogie zjawisko. Było to najdokładniejsze wcielenie psa piekielnego, podług opisu legendy.

– A pan, jako człowiek nauki, czy wierzy w istnienie jakichś nadprzyrodzonych faktów?

– Sam nie wiem, co mam o tym sądzić. Holmes wzruszył ramionami.

– Dotychczas – rzekł – prowadziłem swoje badania w obrębie zjawisk z tego świata. Walczyłem ze złem o tyle, o ile mi na to pozwalały moje słabe środki; byłoby to zbyt trudne i niedościgłe zadanie walczyć ze złym duchem. Jednak twierdzi pan, że ślady były widoczne.

– Ten dziwny pies o tyle był stworzeniem materialnym, że zdołał rozerwać szyję człowieka; a jednak pochodzenie jego jest piekielne.

– Widzę, że już zalicza się pan do ludzi wierzących w zjawiska nadprzyrodzone... Teraz proszę mi odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie: jeśli pan w to wierzy, dlaczego zwrócił się pan do mnie o radę? Z jednej strony prosi mnie pan, abym nie dochodził przyczyn, które spowodowały śmierć sir Karola Baskerville’a z drugiej – żąda, abym się zajął poszukiwaniami.

– Nie, ja pana o to nie prosiłem.

– W czym więc mogę panu pomóc?

– Chciałem prosić, aby mi pan poradził, jak się mam zachować wobec sir Henryka Baskerville’a, który przybywa na stację Waterloo – tu doktor Mortimer wyjął zegarek – za godzinę i kwadrans.

– Czy jest on spadkobiercą majątku?

– Tak. Po śmierci sir Karola dowiadaliśmy się szczegółowo o wszystko, co dotyczy te-

go młodego człowieka, i zawiadomiono nas, że poświęca się rolnictwu w Kanadzie. Wiadomości zaczerpnięte o nim są najzupełniej zadowalające... W tej chwili nie mówię jako doktor, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola Baskerville'a.

– Czy nie ma innych pretendentów do majątku, pozostałego po nieboszczyku.

– Jedyne krewne, którego ślad odnaleziono, nazywa się Roger Baskerville; był on trzecim bratem sir Karola. Drugi brat, który umarł bardzo młodo, pozostawił jednego syna, Henryka. Rogera, trzeciego brata, uważano zawsze w rodzinie za parszywą owcę. Był on uosobieniem dawnego typu Baskerville'ów i, jak mnie zapewniano, błąkał się po świecie jak stary Hugo. Pobyt w Anglii nie przypadł mu do gustu, przesiedlił się więc do Ameryki Środkowej, gdzie umarł na żółtą febrę w 1876 r., Henryk więc jest ostatnim potomkiem rodu Baskerville'ów. Za godzinę i pięć minut mam go spotkać na stacji Waterloo... telegrafował do mnie z Southampton, że przyjedzie dziś rano... Cóż więc mam czynić, panie Holmes?

– Czemu nowy spadkobierca nie mógłby zamieszkać w siedzibie swoich przodków?

– Wydaje się to rzeczą zupełnie naturalną, prawda? Jednakże trzeba sobie przypomnieć, że wszyscy członkowie rodziny Baskerville'ów, zamieszkujący w tym zamku, zginęli śmiercią gwałtowną. Mam to przekonanie, że gdyby sir Karol mógł mówić ze mną przed zgonem, usilnie by polecił, aby nie wprowadzać do tego domu ostatniego potomka jego rodu i spadkobiercy olbrzymiego majątku. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dobrobyt tego nędznego zakątka kraju zależy głównie od obecności sir Henryka; wszystkie ulepszenia, jakie wprowadził sir Karol, byłyby stracone bezpowrotnie, gdyby zamek został opuszczony. Przyszedłem więc prosić pana o zdanie i radę, gdyż lękam się, czy nie zanadto będę miał na względzie własny interes, własne dobro, o które mi chodzi.

Holmes siedział zamyślony długą chwilę, wreszcie rzekł:

– Wyrażając w innych słowach pańskie przekonanie, należy powiedzieć, że uważa pan pobyt w Dartmoor za niebezpieczny dla członków rodziny Baskerville'ów z powodu jakichś piekielnych wpływów.

– Czy nie mam powodu tak twierdzić?

– Nie przeczę. Ale jeśli pańska teoria o faktach jest prawdziwa, ów młodzieniec może podlegać tym wpływom zarówno w Londynie, jak w Devonshire. Trudno mi wierzyć w diabła, którego potęga sięgałaby tylko do granic jednej parafii, jak na przykład zarząd jakiejś fabryki.

– Panie Holmes, zapatrywałbyś się pan na tę kwestię poważniej, gdybyś żył w większym zbliżeniu z tymi zjawiskami. Według pana ten młodzieniec nie jest narażony na większe niebezpieczeństwo w Devonshire niż w Londynie... Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Co mi pan radzi zrobić.

– Radzę panu wziąć powóz, zawołać swego psa, który drapie do moich drzwi, i podążyć na spotkanie sir Henryka Baskerville'a na stację Waterloo.

– No, a potem?

– Potem nie powiesz mu pan nic, dopóki ja się nie zastanowię nad tym wszystkim.

– Czy długo będzie się pan namyślał?

– Dwadzieścia cztery godziny. Doktorze, będę ci szczerze wdzięczny, jeżeli przyjdiesz do mnie jutro o dziesiątej. Proszę również, aby pan przyprowadził ze sobą sir Henryka.

– Najchętniej, panie Holmes.

Doktor Mortimer zapisał godzinę spotkania i wyszedł.

Holmes zatrzymał go na schodach.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Mówił pan, że przed śmiercią sir Karola Baskerville'a kilka osób widziało na moczarach dziwne zjawisko.

– Tak, trzy osoby.

– A czy widziano je później?

– Nie słyszałem o tym.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił na swój fotel, a zadowolenie malujące się na twarzy mego przyjaciela dowodziło, że myśli o jakimś miłym zajęciu.

– Czy wychodzisz, Watsonie? – zapytał mnie.

– Tak. Może jestem ci potrzebny?

– Nie, twoja pomoc będzie mi potrzebna dopiero w chwili działania. Wiesz, że to wspaniała sprawa i jedyna w swoim rodzaju, oczywiście pod niektórymi względami. Gdy będziesz przechodził koło sklepu Bradleya, powiedz, żeby mi przysłał funt mego zwykłego tytoniu. A teraz pozostaw mnie samego aż do wieczora. Jak wrócisz, opowiemy sobie nawzajem wnioski co do tej ciekawej zagadki, którą nam dał do rozwiązania doktor Mortimer.

Holmes lubił rozważać w samotności każdą sprawę. Zbijał wtedy lub popierał swoje własne dowodzenie i wyprowadzał pewne wnioski.

Spędziłem popołudnie w klubie i dopiero wieczorem wróciłem na ulicę Baker.

Dochodziła dziewiąta, gdy znalazłem się ponownie w salonie Sherlocka Holmesa. Kiedy otworzyłem drzwi, odniosłem wrażenie, że się pali; gęsty dym nappełniał cały pokój, a płomień lampy migotał niepewnym blaskiem.

Postąpiłem kilka kroków i ochłonałem z przestrawu; to tylko dym tytoniowy, który właśnie drapał mnie w gardło, wywołując nieprzyjemny kaszel.

Dopiero po chwili, wśród gęstej chmury dostrzegłem Holmesa otulonego w szlafrok i zagłębionego w ulubionym fotelu. W zębach trzymał fajkę.

Naokoło niego, na dywanie, leżały różne ćwiartki papieru.